

Wystąpienie prof. Georges'a Jacques'a

Szanowny Księżu Rektorze,
Szanowni Koledzy,
Szanowni Przyjaciele,

Mój pierwszy kontakt z Polską miał miejsce w roku 1963 w trakcie podróży wiodącej mnie o wiele jeszcze dalej na wschód, a która pozwoliła mi zatrzymać się w Poznaniu i Warszawie. Znaczna część warszawskiej Starówki wokół Rynku była już wtedy odbudowana, ale pusty plac po zamku królewskim uderzał ogromem przestrzeni, a i wiele budynków w centrum nie przekraczało wówczas wysokości jednego piętra. Dla turysty przybyłego z zachodu heroizm Polaków był wprost niesamowity.

Natomiast mój pierwszy pobyt w Lublinie przypadł na rok 1978, co stało się możliwe dzięki umowie zawartej między Katolickim Uniwersytetem Lubelskim a Uniwersytetem Katolickim w Louvain-la-Neuve, zakładającej przyjazd do Polski belgijskich profesorów i lektorów, oraz sześciomiesięczne stypendia w Belgii dla polskich studentów trzeciego roku romanistyki. Czy trzeba przypominać, że Lublin w tamtych czasach był zdecydowanie mniej atrakcyjny niż dzisiaj? Ale pomimo wszelkich ówczesnych niedogodności, polscy koledzy podejmowali nas z bezprzykładną serdecznością, a i sami studenci robili wszystko co w ich mocy, by zaproszeni profesorowie nie czuli się tutaj obco.

Rok 1980 był doświadczeniem, które nazwałbym wręcz historycznym. Między moim pobytem w maju i październiku tego roku miały miejsce wydarzenia wielkiej wagi, możliwe przede wszystkim dzięki odwadze, jaką Papież Jan Paweł II natchnął swoich rodaków. W owym czasie na pierwszym piętrze hotelu Unia Orbis, tuż obok KUL-u, znajdowała się popularna kawiarnia, w której jeszcze w maju wypowiedziano swoje opinie szeptem i ostrożnie, podczas gdy w październiku nikt już nie bał się głośno ich bronić. Był to także rok Konkursu Chopinowskiego, podczas którego Martha Argerich opuściła jury na znak protestu po wyeliminowaniu serbskiego pianisty Ivo Pogorelic'a. Dzięki uprzejmości jednej z polskich asystentek, która pożyczyła mi swoje radio, mogłem wysłuchać znacznej części konkursu. Ale mniej radosne dni rysowały się już w tym czasie na horyzoncie. Braki w zaopatrzeniu były coraz dotkliwsze i Profesor Sekrecka, ówczesna dyrektor romanistyki (jeszcze przed Panią Barańską i Panem Pilorzem), czuwała, bym jadał w stołówce księży profesorów i nie powrócił zbyt wychudzony do mojej rodziny w Belgii.

Wtedy też zaczął się długi i znacznie trudniejszy etap naszych kontaktów, naznaczony wprowadzeniem w Polsce stanu wojennego. Dwoje polskich studentów przebywało wówczas w Louvain-la-Neuve, ale ich kontrakt miał niebawem wygasnąć i ówczesny nasz Rektor wahał się, czy pozwolić im wracać do Polski. Poznałem ich już wcześniej na KUL-u, a potem spotkałem ponownie na UCL. To był początek długiej i do dziś trwającej przyjaźni z Pawłem Matyaszewskim, prawdziwym Lublinianinem, późniejszym dyrektorem romanistyki, jak również ze studentką z okolic Opola na Śląsku, która pozostała w Belgii, bo tam odnalazła miłość swojego życia i ukończyła u nas studia. Nigdy nie zapomniała jednak o swoim kraju i razem wypiliśmy szampana w dniu, kiedy Polska weszła do Unii Europejskiej.

W latach dziewięćdziesiątych powrócił klimat dogodny dla dalszej wymiany i kontaktów, i po dwukrotnym pobycie w Gdańsku rozpocząłem na nowo mój regularny rytm podróży do Lublina, mniej więcej raz na dwa lata. Jeśli dobrze liczę, jestem dziś tutaj po raz jedenasty.

Wykłady, które prowadziłem oscyływały między historią literatury francuskiej a objaśnianiem tekstów francuskich autorów czasów nowożytnych, dziedziną, której poświęciłem najwięcej uwagi, gdyż była ona tutaj nowością, polegającą na przyjrzeniu się tekstowi z bliska przy jednoczesnym łączeniu różnorodnych metod analizy. Balzac, Flaubert i Zola stanowili tutaj główny przedmiot zainteresowania.

Oczywiście studenci są wszędzie prawie tacy sami i więcej uwagi poświęcają temu, co może przynieść im natychmiastową korzyść, a nie filozoficznym czy literackim rozważaniom. W Belgii jest podobnie, zwłaszcza od czasu, kiedy spora liczba romanistów z dyplomami nie poświęca się już nauczaniu, ale zostaje dziennikarzami lub zajmuje ważne stanowiska w instytucjach kultury. Ale jeśli chodzi o studentów polskich, zawsze będę pod wrażeniem łatwości, z jaką uczą się oni obcego, a zarazem trudnego języka francuskiego, którego opanowanie kosztuje sporo wysiłku nawet samych frankofonów.

Tym, co ma dla mnie największą wartość w moich wspomnieniach związanych z Lublinem są kontakty z kolegami, zarówno językoznawcami jak i literaturoznawcami, także z tymi, którzy pracowali kiedyś jednocześnie na obu lubelskich uniwersytetach. Myślę zwłaszcza o tych, którzy byli studentami w Belgii: Januszu, Witku, Szczepanie, Edycie, Judycie, Urszuli i Sebastianie, którzy podejmowali mnie u siebie na Poczekajce wspinałymi i sympatycznymi śniadaniem, no i oczywiście o Pawle Matyaszewskim, wiernym przyjacielu od prawie czterdziestu lat.

Długie kontakty nie są niestety wolne od pożegnań tych, którzy odeszli. Nie mógłbym zapomnieć Pana Kwiatkowskiego, Pana Hejno, czy niedawno zmarłego Krzysztofa Sobczyńskiego, którego miałem nadzieję spotkać w tym roku.

Niektórzy z Państwa wiedzą, jak bardzo lubię Warszawę, o której mógłbym powiedzieć, że jest prawie moim miastem, ale to właśnie w Lublinie mieszkają ludzie, których lubię najbardziej. Jeśli kontakty międzyuczelniane dają radość intelektualną, jest ona prawie niczym wobec radości serca. I to właśnie z tego względu chciałbym podziękować za zaszczyt, jakim mnie dzisiaj Państwo obdarzają.